

4 CZERWCA TO NIE BYŁO ZWYCIĘSTWO

Dlaczego ukrywamy całą prawdę o tzw. transformacji ustrojowej? Bo chcemy ukryć dwa wstydlive fakty: ciągłość elit władzy PRL i III RP oraz anomię społeczeństwa postkomunistycznego – pisze publicysta.

Wielki mit założycielski III Rzeczypospolitej głosi, że 4 czerwca 1989 roku Polacy pokonali komunizm. Ta chwalebna historia rozpoczęła się od obrad Okrągłego Stołu i zakończyła wyborami do tzw. sejmiku kontraktowego. Mit ten nie polega na prawdzie, a służy zbiorowej terapii poniżonej klęskami polskiej duszy. Upadek komunizmu to metafora, która oznacza rozpad imperium sowieckiego wskutek zwycięstwa Stanów Zjednoczonych i jego sojuszników w tzw. zimnej wojnie. Polska nie była wówczas suwerenna. Jako Polska Rzeczpospolita Ludowa wchodziła w skład Układu Warszawskiego, organizacji, której celem było militarne pokonanie USA i ich sprzymierzeńców. Formalnie rzecz biorąc znaleźliśmy się w obozie pokonanych.

Z perspektywy geopolitycznych praw „zimnej wojny” nie ma wątpliwości, że symbolem upadku komunizmu jest berliński mur. Sowieci wierzyli, że gdy podporządkują sobie największe i najsilniejsze państwo kontynentalne Europy Zachodniej, to zdobędą panowanie nad całą Europą. Dlatego USA i mocarstwa zachodnie nie dały Stalinowi zgody na połączenie obu stref okupacyjnych za cenę neutralizacji Niemiec. Obawiały się bowiem, że prędzej czy później zainstaluje on w Berlinie prosowiecki reżim.

Wkrótce zachodnie Niemcy odbudowały swoją gospodarkę i armię, stając się najważniejszym krajem frontowym Zachodu. Obok Stanów Zjednoczonych były największym tryumfotorem „zimnej wojny”, albowiem nie tylko szybko wchłonęły wschodnie landy, ale wyrosły na pierwszą potęgę kontynentalnej Europy o globalnych aspiracjach.

Prawdziwość tej geopolitycznej konstrukcji potwierdzają szczegółowe badania historyków. Do wyborów 4 czerwca 1989 r. doszło nie wskutek bohaterskich czynów Polaków, lecz dlatego, że Michaił Gorbaczow, ówczesny przywódca Związku Sowieckiego, w ramach idei „nowego myślenia” doszedł do wniosku, że Moskwa nie jest w stanie utrzymać w posłuszeństwie podbitych i kontrolowanych przez nią narodów i państw. Ostatni komunistyczny gensek - jak zauważył niemiecki historyk Bernd Stöver w książce „Der Kalte Krieg 1947-91” („Zimna wojna 1947-91”) - od maja 1986 r. wielokrotnie w różnego rodzaju wystąpieniach deklarował, że każdy kraj socjalistyczny ma prawo do wyboru swojej własnej drogi. Gorbaczow nie chciał bynajmniej przyczynić się do rozpadu tzw. obozu socjalistycznego, ale do jego wzmocnienia. Naiwnie wierzył w możliwość reformy komunizmu i jego atrakcyjność dla innych narodów. Był przekonany, że gdy państwom socjalistycznym da się wolność wyboru, to pozostaną one sojusznikami ZSRS, a do tego będą bardziej lojalni wobec Moskwy. Mit o wielkim zwycięstwie w 1989 r. stał się w Polsce jednym z pretekstów do tego, by nie dopuścić do społecznej sanacji

Bernd Stöver przekonuje: „»Nowe myślenie« zrywało przede wszystkim z koncepcją »ograniczonej suwerenności« państw socjalistycznych, będącą elementem doktryny

Breżniewa i zastępowało ją ideą, którą rzecznik sowieckiego MSZ Giennadij Gierasimow w 1989 r. ironicznie nazwał »doktryną Sinatry« (nawiązując do tytułu jego słynnego przeboju »I did it my way«).

A zatem decyzje inicjujące proces zmian ustrojowych w Polsce zapadły w Moskwie na kilka lat przed czerwcowymi wyborami. Wojciech Jaruzelski i Lech Wałęsa byli więc tylko ich wykonawcami.

Dezintegracja władzy

Historycy po dziś dzień spierają się, co było główną przyczyną zwycięstwa Zachodu w zimnowojennych zmaganiach. W historiografii panuje w tej kwestii spór pomiędzy trzema szkołami.

Pierwsza wskazuje na przyczyny wewnętrzne. System komunistyczny był po prostu niewydolny i dlatego uległ wewnętrznym sprzecznościom. Druga akcentuje uwarunkowania zewnętrzne i podkreśla rolę Zachodu, a przede wszystkim zdecydowanej polityki prezydenta USA Ronalda Reagana. Prawda pewnie leży pośrodku. I głosi ją trzecia szkoła. Imperium komunistyczne upadło albowiem zmuszone zostało przez USA do zbyt dużego rozciągnięcia swoich sił imperialnych (teoria „imperial overstretch” przedstawiona przez Paula Kennedy’ego w dziele „Mocarstwa świata”). Gorbaczow próbował ratować imperium wewnętrzne (ZSRS) rezygnując z pełnej kontroli nad imperium zewnętrznym (tzw. państwami socjalistycznymi). Na szczęście przegrał.

Nota bene, nieprawdziwa jest wersja – powtarzana ostatnio przez polskich polityków – zgodnie z którą 4 czerwca odzyskaliśmy wolność. Przypomnijmy podstawowe fakty. Wskutek umowy okrągłostołowej prezydentem Polski został namiestnik sowiecki Wojciech Jaruzelski. Kluczowe tzw. siłowe resorty znalazły się w rękach ludzi Moskwy. Polska po czerwcowych wyborach jeszcze przez dwa lata była członkiem Układu Warszawskiego, a Armia Czerwona opuściła nasz kraj dopiero w 1993 r.

Polscy historycy są równie wstrzemięźliwi w opisie roli Polaków w upadku komunizmu. Antoni Dudek, w „Historii politycznej Polski 1989-2005” wprost mówi o decydującej roli czynników zewnętrznych a przede wszystkim Gorbaczowa: „Podobnie jak w przypadku II Rzeczypospolitej, decydujące znaczenie dla narodzin jej spadkobierczyni miała zmiana sytuacji międzynarodowej, po dojściu do władzy w ZSRR w 1985 r. Michała Gorbaczowa”.

Dudek badając upadek systemu komunistycznego podkreśla fakt „postępującego rozkładu wewnętrznego samego aparatu władzy”. Przyczyn tego doszukuje się paradoksalnie w zastąpieniu aparatu PZPR przez wojsko i służby specjalne. W efekcie powstał chaos „rywalizujących ze sobą grup biurokratycznych”. Jednocześnie trzeba też zwrócić uwagę na słabość opozycji. Wykazały ją strajki, które miały miejsce na przełomie kwietnia i maja 1988 roku.

Tak więc system komunistyczny w Polsce w praktyce implodował. Jaruzelski zdecydował się na „okrągły stół” nie wskutek nacisku opozycji, a raczej ze względu na syndrom zmęczenia władzy komunistycznej.

Dlaczego ukrywamy całą prawdę o tzw. transformacji ustrojowej? Bo nie chcemy przyznać, że w 1989 r. nie było antykomunistycznej rewolucji. Bo chcemy ukryć dwa wstydlive fakty: ciągłość elit władzy PRL i III RP oraz anomie społeczeństwa postkomunistycznego.

Na ten pierwszy problem przeszło 10 lat temu zwróciła uwagę Jadwiga Staniszkis w książce „Postkomunizm”: „Powtórzył się więc syndrom, który rozpoznał Alexis de Tocqueville, analizując rewolucję francuską. Dokonała się rewolucja polityczna, a właściwie już przed rozpoczęciem zakończyła społeczna. Hierarchie dawnego reżimu przetrwały, choć mechanizmy ich reprodukcji są już odmienne. Reguły gry zmieniły się bowiem dopiero wtedy, gdy powstały formy hybrydowe - łączące stare z nowym i pozwalające zachować uprzywilejowany status”.

Polskę, jak wszystkie kraje postkomunistyczne, cechowała i cechuje słabość instytucji. Jest ona związana z naszą historią. Jesteśmy rodzajem „spóźnionego” narodu, czyli takiego, któremu bardzo późno, bo dopiero w trzeciej dekadzie XX wieku, udało się osiągnąć fazę państwa narodowego. Brak długotrwałych interakcji pomiędzy społeczeństwem i jego własnym państwem spowodował instytucjonalny niedorozwój.

Elita rządząca przez ostatnie ćwierćwiecze – zarówno ta o proweniencji komunistycznej, jak i opozycyjnej – nie wywodzi się z instytucji społeczeństwa obywatelskiego, a jest spadkobiercą komunistycznego państwa. Transformacja polegała przecież na zachowaniu ciągłości personalnej i dokooptowaniu przez komunistyczną władzę części opozycji. To Jaruzelski decydował, kto usiądzie przy okrągłym stole, a potem Wałęsa o tym, kto pójdzie do wyborów ze znacznikiem „Solidarności”. Społeczeństwo nie miało specjalnego wyboru.

Być może inaczej być nie mogło. Społeczeństwo obywatelskie było zbyt słabe, aby wygenerować nową elitę i możliwy był tylko wariant kooptacyjny. Nie zmienia to jednak faktu, że prawdziwa geneza III RP nie ma w sobie nic ze wzniosłości i majestatu. Dlatego właśnie wymyślono historyczną narrację, zgodnie z którą Polacy pokonali komunizm. Dzięki temu jego pogromcami stali się nie tylko Lech Wałęsa, Tadeusz Mazowiecki, Bronisław Geremek czy Adam Michnik, ale także Wojciech Jaruzelski, Aleksander Kwaśniewski i Leszek Miller.

Ciągłość elit

Elity PRL-u oddały jedynie władzę polityczną i to dosłownie na niecałe dwa lata (okres od powołania rządu Jana Krzysztofa Bieleckiego w styczniu 1991 r. do rozpoczęcia działalności przez drugi rząd Pawlaka w październiku 1993 r.). Powrót do władzy postkomunistów przypieczętowało zwycięstwo Kwaśniewskiego nad Wałęsą w roku 1995.

W 1989 roku komuniści wykonali więc taktyczny odwrót. Oddali i tak niezwykle słabą władzę polityczną, ale pozostawili sobie główne zasoby władzy ekonomicznej, administracyjnej i policyjno-wojskowej (zachowanie peerelowskiej ciągłości personalnej w administracji państwowej, wojsku i policji). Dzięki temu po kilku latach mogli święcić tryumfalny powrót.

III RP powstała jako dziwna postkomunistyczna hybryda demokracji i oligarchii. Istnieją instytucje demokratyczne, ale jednocześnie władzę sprawują ci nieliczni, którzy weszli w posiadanie zasobów władzy jeszcze w okresie PRL-u, czyli przy okrągłym stole.

Dostrzec należy pewną prawidłowość. Oligarchizacja to typowe zjawisko dla społeczeństw szeroko rozumianej Europy Środkowej. Im dalej na wschód tym mniej demokracji, a więcej oligarchii; tym społeczeństwo obywatelskie i jego instytucje są coraz słabsze.

Część socjologów, np. profesor Piotr Gliški, formułuje na podstawie powyższego rozpoznania tezę o zdradzie elit.

Jej przesłanką jest przekonanie, że mamy oto złe wyobcowane elity i dobre społeczeństwo (naród). Elity III RP zdobyły władzę wskutek oszustwa i z pomocą z zewnątrz. To taka odwrotność rosyjskiego archetypu dobrego cara i złych bojarów. Nasz archetyp polega na tym, że oto wspaniały naród dokonał wielkiego bohaterskiego zrywu, ale został „zdradzony o świcie” niepodległości przez sprzedajne elity.

Byłoby to prawdą, gdyby nie fakt, że to samo społeczeństwo przyzwoliło na tryumfalny powrót Kwaśniewskiego et consortes do władzy. Jakoś tak się dzieje, że Polacy w kolejnych demokratycznych wyborach wybierają ludzi z okrągłostołowego nadania.

Aby to wytłumaczyć, trzeba założyć, że coś jest nie tak z naszym społecznym morale. Socjologowie za Émilem Durkheimem i Robertem Mertonem mówią o zjawisku anomii. Charakteryzuje ona społeczeństwa podlegające procesom transformacji i polega na tym, że nie potrafią one stworzyć spójnego systemu norm i wartości.

W przypadku Polski mamy do czynienia chyba jednak z czymś znacznie poważniejszym, ze stanem społecznej demoralizacji, który należałoby nazwać anomią postkomunistyczną (posttotalitarną). Od klasycznej anomii różni się ona tym, że upadek wartości nie jest efektem procesów transformacyjnych, ale świadomej działalności władz, które przez pokolenia niszczyły etyczność Polaków. Wymieńmy najpierw okupację niemiecką i sowiecką, potem wielką wędrówkę ludów trwającą do końca lat 40., następnie PRL, i w końcu transformację ustrojową z wszechogarniającą religią konsumpcjonizmu. Wszystkie te procesy miały jeden skutek: destrukcyjnie działały na przyswojenie sobie przez Polaków wartości i norm społecznych, a w rezultacie niszczyły fundamentalne więzi między nimi. Chore społeczeństwo mogło wytworzyć tylko chore elity.

Fałszywa historia jest mistrzynią fałszywej polityki – nauczał Józef Szujski, wybitny przedstawiciel szkoły krakowskiej. Nie powinno dziwić, że mit o wielkim zwycięstwie nad komunizmem negatywnie wpływa na politykę polską.

Partia rządząca traktuje go jako jeden z dowodów na to, że III RP jest Polską najlepszą z możliwych. Dlatego niczym Wolterowski Kandyd nie dostrzega katastrofy demograficznej, emigracji porównywalnej z tą z okresu stanu wojennego, ogromnej biedy (około 60 proc. Polaków żyje poniżej minimum socjalnego, czyli nie jest w stanie zaspokoić swoich potrzeb bytowo-konsumpcyjnych na niskim poziomie). Z kolei opozycja tkwi w przekonaniu, że wystarczy zmienić tylko elity władzy i wszystko zmieni się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Powołuje się przy tym na Węgry Viktora Orbána i ostatnio na Turcję |Recepta Tayyipa Erdogana.

Lekcja niemiecko-turecka

Rzeczywiście, można szukać analogii pomiędzy tym, co dzieje się nad Wisłą i nad Bosforem. Chodzi mianowicie o przejście od systemu autorytarno-etatystycznego do demokratycznego i wolnorynkowego państwa prawa. Turcy w ciągu ostatniej dekady odnotowali wielki sukces. Gospodarka rozwijała się w zawrotnym tempie, a kraj szybko stał się jednym z

najważniejszych mocarstw regionalnych. Tyle tylko, że dokonało się to kosztem ogromnej pracy polegającej na budowie instytucji społeczeństwa obywatelskiego. Znakiem firmowym tych przemian są think tanki i stowarzyszenia małego i średniego biznesu. Wystarczyło około 10 lat budowy instytucji społeczeństwa obywatelskiego przez umiarkowanych islamistów i w 2002 roku Erdogan oraz jego Partia Sprawiedliwości i Rozwoju (AKP) wygrali wybory, i z ogromnym poparciem rządzą po dziś dzień (w ostatnich wyborach komunalnych zwyciężyli z wynikiem 45 proc.).

Lekcja turecka nie polega na tym, że lepsza część elity rządzącej zastępuje gorszą, a na samoorganizacji społeczeństwa, które odesłało do lamusa państwo autorytarne i związane z nim elity rządzące. W gruncie rzeczy to była bezkrwawa rewolucja. Społeczeństwo tureckie odzyskało podmiotowość i stało się rzeczywistym gospodarzem we własnym domu.

Nie musimy zresztą sięgać aż po wzory tureckie. Erdogan i jego współpracownicy nie byli oryginalni i bazowali na doświadczeniach RFN. Po roku 1945 nikt nie wmawiał zachodnim Niemcom, że pokonali oni Hitlera. Najpierw władza okupacyjna, a potem sami Niemcy świadomie kształtowali infrastrukturę społeczeństwa obywatelskiego. I czynią to po dziś dzień. Państwo nie tylko współfinansuje ogromną liczbę think tanków. Ma również do dyspozycji własną instytucję, która na poziomie federalnym i landów zajmuje się edukacją polityczną. To Federalna Centrala Kształcenia Politycznego (Bundeszentrale für politische Bildung) i jej landowe odpowiedniki.

Oczywiście należy pamiętać o różnicy. Niemcy sami wybrali nazizm, a komunizm został Polakom narzucony siłą. W obu przypadkach skutki społeczne były podobne: a mianowicie posttotalitarna anomia społeczna. Jednak w polskim przypadku mit o wielkim zwycięstwie w 1989 r. stał się jednym z pretekstów, by nie dopuścić do społecznej sanacji. Minęło ćwierćwiecze, a budowa instytucji społeczeństwa obywatelskiego w Polsce nadal jest w powijakach. Dokończenie tego dzieła to prawdziwa lekcja rocznicy wyborów 4 czerwca.

Krzysztof Rak – autor jest historykiem filozofii. Jako ekspert w dziedzinie stosunków międzynarodowych pracował w Kancelarii Prezydenta, MSZ oraz Kancelarii Prezesa Rady Ministrów

WYKORZYSTANO: RZECZPOSPOLITA